Filozofia Nauki
Rok V, 1997, Nr 4(20)

Peter Thomas Geach

Odpowiedź na uwagi o kategoriach semantycznych wyrażeń języka naturalnego

Przedstawiona przez Panią Joannę Tędziagolską praca, będąca omówieniem i krytyką moich prac semiotycznych budzi uznanie. Mimo iż odnosi się ona do kilku artykułów, które napisałem po polsku, większość prac będących przedmiotem dyskusji została napisana po angielsku; jest więc oczywiste, że mój angielski jest dla Pani Tędziagolskiej zrozumiały. Ponieważ obawiam się, że «przeskakiwanie» pomiędzy polskim i angielskim byłoby dla mnie zbyt męczące, swoją odpowiedź napiszę w tym drugim języku.

Paragraf (1) artukułu pani Tędziagolskiej przedstawia w sposób nieco wyolbrzymiony powody, dla których stosuję techniki logiczne do analizy zdań języka potocznego. Napisałem kiedyś o Strawsonie: „Myśli, że bez wahania kroczymy ścieżkami języka naturalnego, tak jak gdyby tworzyły labirynt zbudowany z drzewek cisowych. Ja wyobrażam sobie logika inaczej: jako członka grupy odkrywców, którzy przedzierają się przez dżunglę; wyrąbane ścieżki zarosłyby błyskawicznie, gdyby nie ciężka praca przy użyciu siekiery; i nawet logik, który się nie waha, może zabłądzić." Jestem więc daleki od tego, żeby uważać, że *każde* zdanie języka naturalnego ma „adekwatną interpretację" w dobrze zdefiniowanym języku formalnym. Dla tych, którzy rozumują ściśle, formalizacja jest niezbędnym narzędziem; jednak wiele rozumowań jest już wystarczająco dobrze skonstruowanych w języku naturalnym. Poza tym niektóre z dokonanych formalizacji były niedojrzałe i niekompetentne. Jestem świadomy, jak szerokie są obszary dyskursu, które nie dają się sformalizować za pomocą naszych współczesnych metod. „Tak dużo jest do zrobienia, a tak mało zrobiono" — jak powiedział Cecil Rhodes.

W pierwszym paragrafie Pani Tędziagolska nawiązuje także do mojej krytyki teorii deskrypcji Russella. Prawdopodobnie ma na myśli mój wczesny artykuł opublikowany

w *Analysis*. Jeśli tak, to mogę tylko powiedzieć, że odrzuciłem już idee zawarte w tym artykule i nie zamieściłem go w moim zbiorze artykułów *Logic Matters* (*LM*). Przez kilka lat w późnych latach czterdziestych i wczesnych pięćdziesiątych używałem pojęcia „presupozycji" w takim sensie, jaki można znaleźć w tym artykule; szybko je jednak porzuciłem — zob. artykuł „The Law of Excluded Middle" w *LM*. Od dawna już sadzę, iż mimo że teoria deskrypcji Russella w postaci, w której została przedstawiona w *Principia Mathematica*, ma pewne błędy techniczne — których zresztą uniknięto w późniejszych sformułowaniach dokonanych przez innych autorów — to zasadnicza myśl tej teorii jest słuszna: to, że zdanie zawierające deskrypcję określoną powinno być sparafrazowane w taki sposób, żeby *żadna* syntaktycznie spójna cześć parafrazy *nie oddawała sensu tej deskrypcji*. Jestem daleki od przeciwstawiania się temu poglądowi, a co więcej uważam, że moja analiza pewnych pozornie złożonych wyrażeń została dokonana «w duchu» analizy Russella.

W pierwszym przypisie Pani Tędziagolska poprawnie przedstawia to, co napisałem w pierwszym wydaniu *Reference and Generality* (*RG*) i pozostawiłem w wydaniu drugim. Przyczyną, dla której porzuciłem pogląd tam zawarty, jest to, że obecnie lepiej rozumiem różnicę pomiędzy rzeczownikami niepoliczalnymi, takimi jak „woda", i policzalnymi, takimi jak „człowiek", a także to, że nie potrafię dokonać logicznej analizy rzeczowników niepoliczalnych. Dlatego też w ostatnim wydaniu *RG* w dyskusji dotyczącej identyczności zaprzestałem używania przykładów z rzeczownikami niepoliczalnymi. To samo wydanie zawiera także konieczną relatywizację terminu „imię własne": z dwóch *B* każde może być tym samym *A*, co pewne *A*, które nosi imię własne dla *A*.

Nie rozumiem natomiast trudności Pani Tędziagolskiej z paragrafu (3) — trudności dotyczących możliwości czasowego zrelatywizowania orzekalnika. Mam nadzieję, że nie wnioskuje ona z „Wszystkie wyrażenia czasowo modyfikowalne są orzekalnikami (a nie nazwami)" do „Wszystkie orzekalniki są czasowo modyfikowalne"!

Z kolei trudność z traktowaniem różnych zastosowań równokształtnych imion własnych jako różnych wyrażeń nie jest właściwa tylko imionom własnym. Angielski jest językiem szczególnie bogatym w homonimy; przykładami mogą być „beetle" (chrząszcz lub młotek) lub „mole" (kret lub molo). Polski ma znacznie mniej homonimów i być może to spowodowało, że Pani Tędziagolska zbyt łatwo zaakceptowała tezę o braku konotacji imion własnych. Zajmuję się tym problemem w wyd. III *RG*, w §34, i demonstruję tam, jak łatwo można pokazać *explicite* w języku sformalizowanym zakładany przez moją teorię związek między imieniem własnym a nazwą ogólną.

Siódmy przypis w tym paragrafie podnosi interesujący problem dotyczący wzajemnego porozumiewania się poprzez używanie danej nazwy własnej np. dla człowieka. Teorii głoszącej, że użycie nazwy własnej jest „analitycznie związane z alternatywą deskrypcji", zupełnie *nie* uważam za atrakcyjną. Najlepsze, co mogę w tej sprawie powiedzieć, to powtórzyć za Wittgensteinowskimi *Dociekaniami filozoficznymi*: „Do porozumiewania się potrzebujemy zgody nie tylko co do pojęć, ale także co do sądów".

Wyobraźmy sobie Anglika mającego słabe wspomnienia z kiepskiej edukacji, który mówi: „Cromwell uciskał zakony; potem ściął króla; potem następny król ściął jego". Ktoś lepiej poinformowany nie mógłby wdać się z nim w racjonalną dyskusję o charakterze Cromwella! Nie ma takiego *jednego* predykatu (a nawet deskrypcji określonej), który musi być orzeczony prawdziwie o Cromwellu przez *wszystkich*, którzy chcą uczynić porozumienie możliwym. Ale pewna *dostateczna* rozbieżność sądów świadczy o tym, że osób usiłujących się porozumieć nie łączy już wspólne użycie nazwy „Cromwell".

Przedtem w tym samym paragrafie Pani Tędziagolska argumentuje następująco: „Kryterium identyczności nie jest [...] związane z nazwą własną «jako taką», lecz z nazwą własną już raz użytą do nazwania określonego przedmiotu". Odpowiedziałbym, że wyodrębnienie przedmiotu, czy to synchronicznie, czy diachronicznie, nie jest możliwe bez posiadania kryterium identyczności. Trudności z przejściem od zdania „*F*(każdy człowiek)" do zdania „*F*(Piotr)" i od tego zdania do „*F*(pewien człowiek)" można łatwo obejść: użyć nazwy ogólnej „człowiek" w złożeniu z „Piotr" i napisać „*F*(człowiek Piotr)". To pozwala na uniknięcie konieczności wprowadzania specjalnej konwencji, że „Piotr" powinien być traktowany zarówno jako nazwa człowieka, jak i jako nazwa *dla* człowieka (zob. *RG* wyd. III §38).

Już w czasach, gdy Ojciec uczył mnie logiki z *Principia Matematica*, niepokoił mnie kształt definicji identyczności, którą Pani Tędziagolska posługuje się bez wahania w paragrafie (5). Co stanowi zasięg kwantyfikatora dla zmiennej predykatowej w „$\forall P\,(Px \equiv Py)$"? Russell twierdził, że do tego zasięgu nie mogą należeć własności zdefiniowane przez ten właśnie rodzaj kwantyfikacji, ponieważ prowadziłoby to do błędnego koła przy określaniu warunków prawdziwości dla zdań, w których własności te są czemuś przypisane. Definiuje on więc identyczność poprzez kwantyfikowanie po ograniczonym zakresie własności, a następnie wprowadza tzw. aksjomat redukowalności, który ma nam zagwarantować możliwość postępowania w taki sposób, jak gdyby kwantyfikatory były nieograniczone.

Nawet nastolatkowi zaczynającemu naukę logiki taka procedura wyda się podejrzana; moje wątpliwości zaprowadziły mnie w końcu do sformułowania teorii relatywnej identyczności.

W paragrafie (6) Pani Tędziagolska tłumaczy moje „referring phrases" jako „wyrażenia odnoszące się do czegoś". Otóż Pani Tędziagolska powinna zauważyć, że ten termin nie występuje w żadnej teorii przeze mnie akceptowanej. Na początku rozdz. III *RG* piszę wyraźnie, że używam tego terminu dla sformułowania teorii, których NIE akceptuję i że używanie go *byłoby* właściwe dla nazwania pewnego rodzaju wyrażeń, *gdyby* teorie te były prawdziwe — w co jednak pozwalam sobie wątpić. Zaś pod koniec rozdz. III mówię jasno, że cała ta rodzina teorii jest moim zdaniem „radykalnie niespójna"; wykazanie tego wymaga jednak więcej pracy niż wytknięcie błędów w teorii rozłożenia terminów.

Tymczasowe kryterium służące identyfikacji zamierzonych zastosowań teorii „wyrażeń odnoszących się" zostało zastąpione innym kryterium w wydaniu III *RG* (§36). Kryterium to miało na celu pokazanie *wiarygodności* tej teorii: po to, żeby pokazać, jak naturalnym dla średniowiecznych logików i młodego Russella było zaakceptowanie teorii tego rodzaju.

Kryterium bycia „wyrażeniem odnoszącym się" nie zostało sformułowane ani przez średniowiecznych logików, ani przez Bertranda Russella; jednakże związek pomiędzy dwoma sądami, jednym zawierającym listę, i drugim — „wyrażenie odnoszące się", został wyprowadzony w duchu tych myślicieli. Podobnie, żaden z nich nie zajmował się logiką wyrażeń zawierających termin „większość". Mimo to, naśladując szkockiego logika sir Williama Hamiltona, od dawna utrzymuję, że wyrażenia te powinny być traktowane na równi z wyrażeniami zawierającymi „każdy" i „pewien". Tak więc, gdy próbuję pokazać, jak można uzasadnić teorie wyrażeń odnoszących się, pierwszym testem jest sprawdzenie, czy wyrażenia zawierające „większość" mogą zostać do nich w sposób naturalny włączone — zgodnie z tym, jak jest w rzeczywistości. W pierwszych dwóch wydaniach *RG* wyrażenia zawierające termin „większość" zostały dość niezręcznie wprowadzone: według kryterium, którego wtedy używałem, nie były «oficjalnymi» wyrażeniami odnoszącymi się, ale pomimo to pod wieloma względami powinny były być traktowane jako takie; niezręczności tej uniknąłem w wydaniu III.

Oczywiście, jeśli upodobnienie wyrażeń zawierających „większość" do (ograniczonych) kwantyfikatorów jest poprawne, włączenie ich do teorii wyrażeń odnoszących się nie było nie *fair* w stosunku do tej teorii; w rzeczywistości nie to spowodowało jej upadek.

Pani Tędziagolska powołuje się na końcu swojego artykułu na prace Hintikki dotyczące kwantyfikatorów. Zetknąłem się z tymi pracami, ale nie z cytowanym przez nią artykułem „Quantifiers *vs.* Quantification Theory". Nie wyobrażam sobie, jak można zdać sprawę z wyrażenia „większość" tak, jak zrobiono to w ramach gry językowej dla „każdy" i „pewien"; prawdopodobnie nie może to być zrobione. Ale, moim zdaniem, tym gorzej w takim razie dla teorii gry językowej, ponieważ równorzędne traktowanie wyrażeń „większość", „każdy" i „pewien" jest na pewno słuszne.

Jak już zaznaczyłem, jestem przekonany, że jądro teorii deskrypcji Russella jest słuszne. W artykułach pisanych pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych na krótko porzuciłem ten pogląd, ale szybko do niego wróciłem i uznając te artykuły za błędne, nie opublikowałem żadnego z nich w moim tomie *LM* wydanym przez wydawnictwo Basil Blackwell. Nie akceptuję *in propria persona* odnoszącej roli deskrypcji: nawet wtedy, gdy coś opisują. W szczególności dotyczy to deskrypcji określonej, którą Pani Tędziagolska proponuje dla prof. J.J. Jadackiego. Obawiam się, że została wprowadzona w błąd przez fakt, że w rozdz. III *RG* takie deskrypcje znajdują się wśród wyrażeń odnoszących się i nie zwróciła uwagi na ostrzeżenie na początku §38 i w §54, że ja tej teorii NIE popieram (to, o czym teraz mówię, było już zawarte w wyd. I i II). To, że Pani Tędziagolska miesza teorie, które popieram, z teoriami, które

tylko przedstawiam i dyskutuję przed ostatecznym ich odrzuceniem, wychodzi na jaw w przypisie dziewiątym, gdzie Pani Tędziagolska przedstawia razem teorię *dictum de omni*, którą akceptuję, i teorie wyrażeń odnoszących się, które omawiam jako teorie głoszone przez innych i które odrzucam (*nb.* dyskusja nad *dictum de omni* w wyd. III jest znacznie poszerzona i, mam nadzieję, ulepszona (§56)).

To, co sądzę o deskrypcjach określonych *in propria persona* napisałem na s. 150 trzeciego wydania *RG*. Daleki jestem od twierdzenia, że wyrażenie „*A*, które jest *P*" jest jednością syntaktyczną wtedy, gdy nie jest wyrażeniem pustym. Wprost przeciwnie: sądzę, że nigdy nie stanowi takiej jedności.

Na tej samej stronie znajduje się jednak także *błędna* analiza. Dokonałem już niezbędnych zmian, tu i w innych miejscach. Zamierzone wydanie IV jest złożone w *Balliol College* w Oxfordzie, ale obawiam się, że nie doczekam już jego opublikowania. Tak, czy inaczej, oto poprawna analiza:

Orzekalnik „— jest *A*, które jest *P*" należy analizować jako „pewne *A* jest *P* i wśród *A*-ków tylko — jest *P*". Rodzaj ograniczonych sądów wykluczających zastosowany tutaj — jest dokładnie omówiony w rozdz. 7, §108.

W paragrafie (6) Pani Tędziagolska odwołuje się do opisu klasy „wyrażeń odnoszących się" który, jak już wspominałem został zupełnie zmieniony w wydaniu III, nie muszę więc wdawać się w analizę przypadkowych błędów, które (jak sądzę) zawarte są w jej rozważaniach.

Wbrew temu, co sugeruje Pani Tędziagolska na początku paragrafu (7), to, że jedno zdanie angielskie, które zostało wybrane przeze mnie jako przykład dwuznaczności rozwiązywalnej przez porządek kwantyfikatorów, może być oddane w języku polskim za pomocą zdań pozbawionych dwuznaczności, nie ma wielkiego znaczenia. Pani Tędziagolska z pewnością nie sądzi, że takie dwuznaczne zdania nie występują w języku polskim?

Nie potrafię sobie teraz przypomnieć źródła, ale pamiętam logiczny przykład, który nie dawał spokoju pewnemu średniowiecznemu autorowi:

Na każdej prostej pomiędzy każdym punktem i każdym innym punktem jest pewien punkt.

Dwuznaczność zostałaby usunięta w teorii kwantyfikatorów (przy użyciu kwantyfikatorów ograniczonych, takich jak w prowizorycznej notacji Quine'a w *Mathematical Logic*, i różnych zmiennych dla oznaczenia różnych punktów, tak jak w *Traktacie*):

$\forall x$ (prosta) $\forall y$ (punkt) $\forall z$ (punkt) $\exists w$ (punkt) [(y jest na x-ie $\wedge$ z jest na x-ie) $\rightarrow$ (w jest pomiędzy y i z na x-ie)]

$\forall x$ (prosta) $\forall y$ (punkt) $\exists w$ (punkt) $\forall z$ (punkt) [(y jest na x-ie $\wedge$ z jest na x-ie) $\rightarrow$ (w jest pomiędzy y i z na x-ie)]

Łatwość, z jaką można rozplątać dwuznaczność w zdaniu angielskim (i w oryginalnej łacinie) poprzez zastosowanie teorii kwantyfikacji pokazuje wielkość osiągnięcia Fregego. Polskie tłumaczenie zawiera tę samą dwuznaczność, co zdanie angielskie.

Warto zwrócić uwagę, że użycie przez Panią Tędziagolską wyrażeń: „jakąś dziewczynę" i „pewną dziewczynę" zgrabnie koresponduje ze sposobem, w jaki Russell w *The Principles of Mathematics* rozróżnia odpowiednio pomiędzy: „a girl" i „some girl".

Powody, dla których uważam, że zaimek „on" nie ma odniesienia w zdaniu:

„Tylko jeden człowiek włamał się do banku w Monte Carlo i zmarł on ostatnio w biedzie"

(pozostanę przy swoim przykładzie z *RG*, mimo że oczywiście polski przykład Pani Tędziagolskiej z paragrafu (8) jest równie dobry) przedstawiłem — mam nadzieję — bardziej przekonująco w wydaniu III niż w wydaniach I i II.

Rozważania paragrafu (9) są ściśle związane z przykładem dotyczącym zanurzenia się Heraklita w rzece: porzuciłem ten przykład w wydaniu III, ponieważ nie dysponuję teorią rzeczowników niepoliczalnych, której mógłbym stanowczo bronić. W tym wydaniu w §91 przedstawiam przykład z użyciem rzeczowników policzalnych; ciekaw jestem, jaki byłby w tym wypadku komentarz Pani Tędziagolskiej. Dalsza dyskusja nad tym samym przykładem jest zawarta w §§93 i 95.

W dalszym ciągu Pani Tędziagolska cytuje *LM*, chciałbym więc odwołać się do zamieszczonego tam artykułu „The Perils of Pauline". Problemy pseudo-nazw i identyczności intencjonalnej nie są oczywiście ograniczone do fikcji. Wydaje się, że jesteśmy w stanie zrozumieć, że pewna społeczność *zamierza* wspólnie odnosić się do czegoś, i jednocześnie powstrzymać się od wydawania sądu, czy rzeczywiście ta społeczność do czegoś się odnosi lub nawet wydać sąd, że się *nie* odnosi. Możemy więc używać — tylko w mowie zależnej — pseudo-nazwy dla określenia tego, zamierzonego przez nich, odniesienia. Omawiana grupa ludzi będzie używała danej nazwy z intencją odnoszenia się do czegoś, ale nie ma żadnego powodu, dla którego mówiąc o tej społeczności, mielibyśmy *naśladować* ich użycie i stosować wyraz równokształtny jako pseudo-nazwę. Oczywiście *możemy* tak robić. Pewni Szwajcarzy opowiadali historie, w których *bona fide* używali nazwy „Wilhelm Tell" jako nazwy własnej. Osobiście mógłbym, nie angażując się ontologicznie, powiedzieć np.: „Niektórzy Szwajcarzy wierzą, że Wilhelm Tell trafił w jabłko na głowie swojego syna" bez konieczności określenia, czy ludzie ci mieli rację traktując tę historię jako mit. Wtedy w moim języku „Wilhelm Tell" jest tylko *pseudo*-nazwą i może występować tylko w mowie zależnej. Mówiąc słowami Fregego: nie ma w moim języku *gewönlich Bedeutung*, a tylko *ungerade Bedeutung*.

Z drugiej strony, pseudo-nazwa nie musi być równokształtna z nazwą używaną przez ludzi, o których opowiadamy. Wyobraźmy sobie starożytnego Izraelitę mówiącego: „Filistyni wierzą, że Belzebub pomaga im w bitwie". Według mojego słownika hebrajskiego „Belzebub" znaczy tyle, co „władca much". Jest mało prawdopodobne, żeby Filistyni używali tej nazwy dla swojego najwyższego boga. Nie możemy także zakładać, że uważali tak starożytni Hebrajczycy; dla nich Belzebub był „fałszywą kukłą" i użyliby nazwy „Belzebub" tylko w rozmowie o tym, o czym myśleli Filistyni.

Mój pogląd w tej kwestii nie jest ostatecznie ugruntowany i został sformułowany już po napisaniu *RG*. W wydaniu III wprowadziłem tylko nieznaczne zmiany w rozważaniach dotyczących kontekstów intensjonalnych (§94), ponieważ, jak napisałem w przedmowie, nie jestem pewny, czy moje obecne poglądy są choć trochę lepsze niż poprzednie.

Co do jednego jestem absolutnie pewny: „Jest tylko to, co jest, a nie ma tego, czego nie ma", jak powiedział Ojciec Parmenides. Każda próba twierdzenia inaczej, np. zastanawianie się, czy żona Sherlocka Holmesa istnieje w mniejszym stopniu niż Sherlock Holmes, prowadzi na manowce.

Muszę zaprotestować przeciwko rzekomej konsekwencji mojego odrzucenia pustych imion własnych. Jestem naprawdę zdziwiony, że Pani Tędziagolska pisze to, co pisze. W przypisie szesnastym cytuje Ayera, który na pewno nie jest specjalistą od poglądów Geacha. Pani Tędziagolska odnotowała wcześniej mój pogląd o syntaktycznej prostocie nazw, więc jak może myśleć, iż uważam, że wyrażenie „obecny król Francji" jest nazwą? Jak już powiedziałem w tych uwagach, sądzę, że teoria deskrypcji Russella jest ogólnie słuszna: zdanie, w którym występuje deskrypcja określona zawsze może być sparafrazowane w taki sposób, że *żadna* syntaktycznie spójna część parafrazy nie będzie oddawała sensu deskrypcji; i po sparafrazowaniu zdanie „Obecny król Francji jest łysy" okazuje się czystym fałszem, a nie zdaniem pozbawionym wartości logicznej. Uważam, że zdanie to jest równoważne z równie fałszywym zdaniem „Francja ma obecnie łysego króla".

Powinienem wcześniej skomentować kwestię terminologii, która zmyliła wielu ludzi, chociaż nie mam powodów przypuszczać, że Pani Tędziagolska została wprowadzona w błąd. Użycie przez Strawsona i wielu innych sformułowania „*wyrażenie* odnoszące się" różni się znacznie od mojego użycia sformułowania „*fraza* odnosząca się" w *RG*; ani wyjaśnienia zawarte w *RG* (w każdym z wydań), ani klasa wyrażeń, do których termin ten się stosuje, nie są takie same jak te, które można znaleźć dla „wyrażeń odnoszących się" u Strawsona i innych. Tak się składa, że opublikowałem zarówno krytykę teorii „wyrażeń odnoszących się", jak i krytykę teorii „fraz odnoszących się", ale nie mieszam tych dwóch rodzajów teorii i nikt ich mieszać nie powinien (o tym, co napisałem przeciwko koncepcji „wyrażeń odnoszących się" Strawsona — por. moje artykuły z *Analysis* przedrukowane w *LM*).

Jeśli chodzi o sprawę poruszaną w paragrafie (10), to rzeczywiście uważam, że w pewnych kontekstach lista może być zastąpiona *salva congruitate* przez nazwę ogólną. Zastąpienie *salva veritate* to zupełnie inna sprawa: dla konkretnej interpretacji „*A*" wiele *A*-ków może nie posiadać nazw! Nie uważałem też nigdy, że nasz język, nawet sformalizowany, jest — że tak powiem — zwykłym banknotem, zabezpieczonym złotem języka, w którym *każdy* przedmiot ma nazwę niedostępną dla ludzi, tak jak złoto. Być może niektórzy popierają podstawieniową doktrynę kwantyfikatorów, która korespondowałaby z takim opisem, ale nie ja! Nigdy! Głoszę jedynie, że logikowi *wolno* nadać nazwę *każdemu* przedmiotowi. Np. każda liczba rzeczywista, jeżeli jest

określona, może zostać *ad hoc* nazwana imieniem własnym; nie musimy wyobrażać sobie języka, w którym nieprzeliczalnie wiele liczb rzeczywistych byłoby *naprawdę* nazwanych.

Oczywiście też zastępowalność nazw ogólnych i list *salva congruitate* (w pewnych kontekstach) *nie* znaczy, że możemy traktować nazwę ogólną jako listę. Lista, jak ją rozumiem, może mieć tylko skończoną liczbę elementów. Liczba ta musi być ponadto określona, ale gramatyka nie nakłada na nią jakiejś górnej granicy. Nie jestem pewny, co Pani Tędziagolska rozumie przez „nie da się wyliczyć" i czy w jej zdaniu „Burek, Reks, Łatek... są kundlami" kropki maja oznaczać pewien dany, ale nieokreślony zbiór nazw.

Paragraf (11) artykułu Pani Tędziagolskiej zadowalająco przedstawia mój pogląd. Siedemnasty przypis porusza problem, który nazywam czasem „podwójną asercją". Mimo że asertoryczny charakter składnika zdania zostaje zlikwidowany, np. przez umieszczenie całego zdania w konstrukcji „jeżeli to" lub zamienienie go w pytanie (co w niektórych językach może być zrobione przez dodanie prostej partykuły pytajnej: w polskim: „czy", we francuskim „est-ce que"), to jednak jakaś asercja pozostaje. Np. wypowiadając zdania:

Jeśli Jones zdaje sobie sprawę, że żona go zdradza, to...

lub:

Czy Jones zdaje sobie sprawę, że żona go zdradza?

mówiący jest odpowiedzialny za *twierdzenie*, że żona Jonesa jest niewierna; nie może uniknąć tego mówiąc (jak Alicja) „Ja tylko powiedziałem 'jeśli'" lub „Ja tylko pytałem".

Wciąż sądzę, że czasownik „wiedzieć" stanowi odrębny przypadek. Rozważmy następujący dialog:

A: Wydaje mi się, że Russell jest bardzo przygnębiony.

B: Być może złe wieści o Wittgensteinie się potwierdziły.

A: Jeśli Russell dowie się, że Wittgenstein został zabity, to oczywiście będzie przygnębiony.

Wydaje mi się oczywiste, że A nie stwierdza, że Wittgenstein został zabity.

Pomimo parokrotnego przeczytania pierwszy akapit paragrafu (12) jest dla mnie niejasny. Pani Tędziagolska pisze: „Przedmioty należące do danego rodzaju wcale nie są identyczne, lecz jedynie podobne. Kryterium identyczności danej nazwy rodzajowej A staje się kryterium «podobieństwa rodzajowego *A*»". Pierwsze zdanie wydaje mi się banalną prawdą, natomiast drugie wcale z niego nie wynika. Z tego, że Jones jest tym samym człowiekiem co ktoś inny, nie wynika, że Jones jest takim samym człowiekiem, jak każdy człowiek, a jedynie, że jest podobny do innych ludzi. Oczywiście: *Zgoda*! Ale uwaga, że „jest tym samym człowiekiem co" wyraża *tylko* kryterium podobieństwa, jest wciąż nieuzasadniona.

Nie jest moją tezą oczywiście, że „orzeczniki są rezultatem odrelatywizowania równoważnościowych funktorów dwuargumentowych", chyba że znaczy to jedynie, iż

niektóre są. Konkretnie które zatem? Przez długi czas zastanawiałem się nad zagadką, jaki kształt logiczny (jeśli można tak powiedzieć) musi mieć nazwa ogólna, żeby mogła być wstawiona w puste miejsce w „jest tym samym — co". Na próżno. Jeszcze przed trzecim wydaniem *RG* dostrzegłem, że kwestia ta jest analogiczna do dylematu związanego z myśleniem o wyrażeniach oddających pokrewieństwo „jest ojcem", „jest bratem", „jest kuzynem" itp. jako o wyrażeniach skonstruowanych z „jest —" i nazwy ogólnej właściwego kształtu wstawionej w puste miejsce. Jak więc w takim razie ten „kształt logiczny" miałby być zdefiniowany? Zdałem sobie sprawę, że nie tędy droga. Każdy termin pokrewieństwa „*K*" należy rozumieć za pomocą „jest czyimś *K*" a nie *vice versa*. I podobnie, uważam, że jeśli „jest tym samym *A* co" jest sensowne, to dzieje się tak dlatego, że „jest *A*" znaczy właśnie „jest tym samym *A* co coś". „Jest tym samym — co" wyraża pewną cechę wspólną, równoważność pewnych relacji, ale nie jest operatorem, który może zmienić jednoargumentowy predykat (właściwego rodzaju!) w dwuargumentowy. Mogę zrozumieć poczucie, że „*a* jest *A*" odnosi się tylko do *a*, podczas gdy „*a* jest tym samym *A* co coś" wnosi zewnętrzną relację *a*-ka. Ale równoważnościowa relacja „*a* jest tym samym *A* co coś" zachodzi tylko wówczas, gdy zachodzi relacja „*a* jest tym samym *A* co *a*", co nie wynosi nas poza *a*.

Chciałbym tutaj zwrócić uwagę na istnienie pewnego nierozwiązanego problemu (nie mówię o tym w wyd. III RG; nie robię tego w każdym razie wyraźnie). Trudności powstają, gdy myślimy, że każda dobrze zdefiniowana relacja równoważności może służyć jako kryterium identyczności, które staje się podstawą użycia imienia własnego. Które więc relacje mogą służyć jako takie kryterium? Nie potrafię odpowiedzieć; ale jest mało prawdopodobne, że znajdziemy poprawną odpowiedź, jeśli nie będziemy brali pod uwagę niezwykłej różnorodności wskazujących imion własnych i stosunkowego ubóstwa argumentów przemawiających za dyskwalifikacją niektórych z nich.

Co właściwie Pani Tędziagolska ma na myśli mówiąc, że imię własne «jako takie» nie zawiera kryterium identyczności? Oczywiście, nie możemy wywnioskować takiego kryterium z dźwięku czy kształtu imienia! Ale to jest banalna prawda i nie wyróżnia imion własnych spośród innych słów. Połączenie nazwy ogólnej *A* (takiej, dla której „to samo *A*" ma sens) z zaimkiem wskazującym tworzy interesujący kontekst, o którym napisałem więcej i (mam nadzieję) lepiej w wydaniu III *RG*, §22, §32. W odpowiedzi na argument zawarty w drugim akapicie paragrafu (12), §34 tej samej pracy przynosi, jak sądzę, lepsze uzasadnienie poglądu, że (pewne) nazwy ogólne mogą pełnić rolę nazwową.

Idea kwantyfikatorów rozgałęzionych *à la* Hintikka, wydaje mi się w *najwyższym stopniu* podejrzana. Mówienie o dwóch operatorach, które działają jednocześnie, pozornie brzmi sensownie. Ale czy to rzeczywiście ma sens? Wyobraźmy sobie, że kazano mi rozwiązać zadanie arytmetyczne: ile wynosi $2 + 3 \times 5$? „Przepraszam" — powiedziałbym — „czy tu nie powinno być nawiasów?"; „Nie!"; „Więc które działanie mam wykonać najpierw: dodawanie czy mnożenie?"; „Żadne z działań nie ma pierwszeństwa, oba powinny być wykonane jednocześnie". Byłbym w kropce. Być może

jakiś genialny matematyk potrafiłby wymyślić sposób, o którym mógłbym *ex post facto* powiedzieć „Tak, to zostało wykonane jednocześnie". Ale to byłaby *nowa* konwencja, a nie «prawidłowy» sposób stosowania starych.

Podobne rozumowanie można zastosować do kwantyfikatorów nieuporządkowanych liniowo. Jeżeli rozumiem pojedyncze kwantyfikatory, mogę zrozumieć kwantyfikatory wprowadzane kolejno, jeden po drugim. Natomiast kwantyfikatory działające jednocześnie są dla mnie tak samo niezrozumiałe jak „$2 + 3 \times 5$". Co do przykładu Hintikki: nie rozumiem czemu nie może być przedstawiony za pomocą kwantyfikatorów ograniczonych, po prostu jako:

$\forall x$ (mieszczuch) $\forall y$ (wieśniak) $\exists z$ (człowiek) $\exists w$ (człowiek) [(w jest krewnym x-a $\wedge$ z jest krewnym y-ka $\wedge$ w i z nienawidzą się wzajemnie)];

ostatni człon może oczywiście być zastąpiony przez „w nienawidzi z-a $\wedge$ z nienawidzi w-a".

Nie znam artykułu Hintikki i obecnie nie mam do niego dostępu; być może konstruuje on swój *casus* w taki sposób, że takie przedstawienie jest niemożliwe. Ale porządek kwantyfikatorów (i operatorów) jest tak potężnym środkiem pozwalającym na wykrycie błędów i dokonywanie poprawnych wnioskowań, że usuwanie go tylko dlatego, że można wymyślić dziwaczne przykłady, które trudno zapisać w notacji liniowej, wydaje mi się bardzo złą strategią.

Powinienem jeszcze chyba wyjaśnić bliżej moją aluzję do prowizorycznej notacji Quine'a dla kwantyfikatorów. Nie mam pod ręką jego *Mathematical Logic*, ale to, co mówię, można łatwo sprawdzić. Na początku rozdziału o kwantyfikatorach Quine wprowadza, nie dla celów formalnych, ale tylko dla wyjaśnienia, notację, w której np. „Wszyscy ludzie są śmiertelni" można przedstawić jako „$\forall x$ człowiek (śmiertelny x)". Preferowana interpretacja, jedyna jakiej Quine używa w części formalnej, zawiera kwantyfikatory nieograniczone: „$\forall x$ (człowiek $x \supset$ śmiertelny x)".

Tłumaczyła Joanna Tędziagolska